

Druskienickich źródeł

Rok 1846.

ZESZYT DRUGI.



GRODNO.



Druskienickich źródeł

PISMO ZBIOROWE

dla zdrowych i chorych,

w czasie czteromiesięcznego u wód mineralnych pobytu.

Wydawca

K. WOLFGANG.

Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga, o światło.

ROK 1846.

Zeszyt Drugi.

GRODNO.

w Drukarni Rządowej.

Nakład Wydawcy.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych, w Komitecie Cenzury.

Wilno. 1846 roku, 5 Marca.

Cenzor *Jan Waszkiewicz.*

POSTRZEŻENIA

LEKARSKO-PRAKTYCZNE.

Przykład pomyślnego uleczenia obstrukcji wątroby i reumatyzmu za pomocą wód druskienickich.

T. B... ze zgromadzenia Siostr Miłosierdzia, 49 lat wieku, córka zdrowych rodzicow, przebywszy szczęśliwie wysypki wiekowi dziecinnemu właściwe, w zupełnem zdrowiu spędziła wiek młodzieńczy i znaczną część wieku dojrzałości. Przed 20 laty uniesiona przestraszonemi końmi, lubo przy wywrócie pojazdu nie uległa kalectwu, ani też doznała znacznych uszkodzeń, mocno się jednak przelękła i potłuczenia po różnych miejscach były widoczne. Zrazu nie czuła ztąd wprawdzie złych następstw, lecz wkrótce rozwinęło się zapalenie wątroby, z silnem biciem serca połączone. Uleczona z zapalenia, nie odzyskała już zupełnego zdrowia i zawsze czuła jakąś dolegliwość nieoznaczoną, na którą wszakże mniej zważając, wszelkiego zaniedbała leczenia. Po kilku dopiero latach, gdy została przełożoną domu gdzie wszystkie mieszkania były wilgotne, dawna cho-

roba wróciła z całą gwałtownością, a nadto rozwinął się reumatyzm całego prawie ciała, serce biło silnie i nieregularnie, a ból w jego krainie ciągle czuć się dawał. Miejscowy lekarz pokonawszy szczęśliwie zapalenie wątroby i gwałtowność reumatyzmu, niczem uspokoić nie mógł niezwyczajnego ruchu serca; że zaś przyczyną jego najpodobniej było reumatyczne cierpienie samego serca, postanowił zrobić zawłokę niżej piersi lewej. Środek ten istotnie znaczną przyniosł ulgę, ruch serca stał się regularnym, pozostałe po zapaleniu zatwardzenie wątroby przy starannych środkach widocznie rozchodzić się poczęło, lekki tylko reumatyzm odzywał się kiedy niekiedy. Niewątpiąc chora o bliżkim powrócie zdrowia, pomimo przestrogi lekarza, wyciągnęła zawłokę i dalszego zaniedbała leczenia. To lekceważenie zmniejszonych już cierpień i rady lekarskiej, wkrótce ukaranem zostało. Reumatyzm wzmagał się stopniami, bicie serca wróciło, ból w krainie wątroby ciągle i coraz większy czuć się dawał; używane środki zaradcze przy niemożności leczenia się stałego, mało przynosiły ulgi; owszem, wzrastające przez lat kilka cierpienia doszły nakoniec ostateczności. Wezwany w r. 1842 dla dania chorej pomocy lekarskiej, prawdziwie w opłakanym znalazłem ją stanie: silny reumatyzm całego prawie ciała z wielkiemi połączony bolami, nie dozwalał jej władać

żadnym członkiem bez gwałtownych cierpień, wątroba zwiększona w objętości, dla mocnych bolow dotknięcie czyniła niepodobnem, serce biło nieregularnie, trawienie tak było osłabione iż chora żadnego przyjąć nie mogła pokarmu, ciało wyniszczone, twarz ciężkie cierpienie wyrażająca, jęk ciągły, do litości pobudzały. Przy czynnych wszakże staraniach, stan chorej rychło polepszać się zaczął, zmniejszyły się cierpienia reumatyczne i wątrobowe, bicie serca uspokoiła odnowiona na dawnem miejscu zawłoka, wrócił apetyt, chora po kilku tygodniach mogła się przechadzać po pokoju, a po trzech miesiącach wyszła raz pierwszy z mieszkania, dla użycia świeżego powietrza. Od tego czasu przez rok przeszło bardzo powolny był postęp ku lepszemu; bole reumatyczne lubo zmniejszone w gwałtowności, nie dawały się pokonać zupełnie, w szmacie lewym wątroby pozostała twardość żadnym nie ustępowała środkom, bicie serca za najmniejszą przyczyną, szczególniej po przeziębieniu wracało, a zawsze współcześnie z powiększeniem cierpień reumatycznych. — Mając do czynienia z dwoma chorobami głównemi, a mianowicie z obstrukcją wątroby i reumatyzmem, od którego też bez wątpienia i bicie serca pochodziło, musiałem szukać sródka obu tym cierpieniom odpowiednego. Wiedziałem z własnego doświadczenia iż woda Druskienicka wybornie działa w zatwar-

dzeniach wątroby, ale wątpiłem azali też równie skuteczną będzie w reumatyzmie, zwłaszcza tak głębokim i zadawnionym; niemając jednak nic lepszego do wskazania, zaleciłem chorej użycie wody mineralnej w Druskienikach, dokąd się też udała w ostatnich dniach czerwca 1844 r. Lato dżdżyste niebardzo sprzyjało kuracji, mimo to jednak chora piła wodę przez dwa niemal miesiące z małemi przestankami, podług wskazań miejscowego lekarza, i wzięła 49 kąpieli. Skutek przewyższył wszelkie oczekiwanie; wróciwszy do Wilna, znacznie na siłach wzmocniona chora nie doznawała żadnych już cierpień, zmiany powietrza bynajmniej jej nie szkodziły, bezpiecznie modliła się w kościele, do którego uprzednio zaledwie na krótko i to w czasie najcieplejszym tylko wejść mogła, bicie serca nie powracało, zatwardzenie wątroby rozeszło się zupełnie, nawet wyciągniona zawłoka nie sprawiła pogorszenia i żadne już środki lekarskie nie były potrzebne. Rok cały upłynął pomyślnie, lecz pomyślność jak zwykle pociągnęła za sobą nowe nadużycia; chora zaczęła zbytecznie narażać się na zmiany powietrza, skutkiem czego zjawiły się cierpienia reumatyczne ale tak lekkie, że na ich pokonanie wystarcza zachowanie sie przez dni kilka w mieszkaniu ciepłem, i zwyczajne w podobnych razach środki apteczne. Wątroba ciągle jest w najlepszym stanie.

Juljan Moszyński.

SŁÓWKO

O DUCHU POEZJI

POLSKIEJ STAROŻYTNEJ. (*)

Religijność i obywatelskość, głównie cechowały charakter Słowianina Polaka: jego też piśmiennictwo, a mianowicie poezja, tchnęły i tchną tym duchem. Nosząc ona na sobie pierwotne to znamie, odznaczyła się w XV i XVI wieku osobnemi nadto a sobie właściwemi cechami, rozszerzywszy się znacznie, i odstrzeliwszy od ogniska, w którem się pierwotnie skupiły jej promienie. Wtedy to pańskość szlachcckością, a szlacheckość gminnością, w politycznym i moralnym kierunku narodu, czyli w swobodach i naukach zasilona, wystawiła obraz swej poezji liryczno opisowy, który religijność i świeckość wyświetliły i wycieniowały hymnem i sielskością. Obadwa te rodzaje narodowego pienia, wzbiwszy się do najwyższego na jaki się wiek ten mógł zdobyć szczytu, były tłumaczem poetycznego usposobienia Polakow, w takiej zawsze pokazując się postaci, w ja-

(*) Wyjątek z Historji Literatury, udzielony przez W. W. A. Maciejowskiego.

kiej się objawiało ich narodowe życie. Obok religijnej stanąwszy w XV wieku świecka poezja, nie mogła podskoczyć w górę, bo nie było ludzi, którzyby ją wznieść umieli wysoko. Wprawdzie w XVI stoleciu rozszerzyli oni jej zakres, lirykę świecką pobratali z moralną czyli obyczajową poezją, przybrawszy ją w szatę satyry i apologu, na sielskość baczne zwrócili oko, o historyczną i dramatyczną kusili się poezję; lecz niczego nie umieli podnieść mocą sztuki, nie podołali wyższem rzecz natchnąć życiem, i wydać poetyczne utwory, usnute na duchu i skłonności umysłowej (humorze) polskiego narodu. Bo byli małymi w wewnętrznej i zewnętrznej poezji, czyli mało oryginalni w myślach i składzie wiersza. Umieli tylko naśladować i na język polski obce przenosić wzory, a narodowości która jedynie do takich dzieł natchnąć ich mogła, pojmować a więc i cenić nie umieli. Powierzchownie obejrzawszy gminne piosnki,śpiewność tylko z nich przejęli, a nawet wyobrażenia nie mieli o tem, jakby je z poziomu sielskich uczuć wywieść na szczyt liryki wieszczej.

Lepiej się powiodło z wydoskonaleniem sztuk pięknych narodowość za podstawę mających, z przyczyny że zmysłu a nie umysłu do ich kształcenia potrzeba było. Dlatego też taniec i muzyka polska, prędzej niż poezja stała się europejską; w nich narod nasz żyć będzie wiecznie, one przeciągną jego życie po-

za przeszłość, one zawsze narodowość polską pięknie charakteryzować będą. Dawna Chrobacja, ziemie Ruskie i Mazowsze składały głównie te krainy obszernego naszego królestwa, które najwydatniejsze m'ały cechy poezji narodowej, tudzież tańca i muzyki. Trzy nadobne te sztuki łączyły się w jednej ojczyźnie polskiej, swojem ogniwem nietylko kraje przed-jagielońskiej ale i ziemie po-jagielońskiej Polski spajając ściśle. Sielskie pienia, tudzież kozak i dumka, satyra, tudzież krakowiak i mazurek, charakteryzowały poezję, taniec i muzykę ziem Ruskich, Małopolski i Mazowsza; a religijne pienia z tańcem polskim i właściwą muzyką, z głównego ojczyzny naszej gniazda, tojest z Wielkopolski, po całem rozlawszy się królestwie, łączyły pod względem sztuk nadobnych, w jedne całość obszerną przestrzeń wielkiej ziemi naszej. Tkliwości i wdzięków nadobne te dzieci, Muz i Gracij córy (jak starożytni mawiali Grecy), pielęgnował Polak od kolebki aż do grobu, mianowicie też w XVI wieku, ale nie wszystkie wykształcił równo.

Skreśliwszy charakter poezji naszej, wykazawszy jej łączność z muzyką, i każdemu jej rodzajowi miejscowy pobyt naznaczywszy, przystąpimy do jej rozkładu i szczegółowego opisu. Trzymając się tegoż samego porządku, wykażemy jak wieszczowie polscy liryczną satyrę, historyczną i dramatyczną poezję owładnąwszy, wznieśli się nad rodzaje drobnej poezji; jak

pielęgnując zarod gminnej poezji, nie byli w stanie rozwinąć go i na własny obrócić użytek.

Jan Kochanowski, szkic historyczno-literacki.

W następującym porządku wychodzące dzieła Jana Kochanowskiego, czytałem:

Szachy, bez roku u Macieja Wierzbięty w Krakowie. (*)

Fraszki, w Krakowie 1584.

Dzieła, tamże 1585.

Psałterz Dawidow, tamże i w tymże roku (jest to powtórne wydanie; pierwsze wyszło 1578).

Fragmenta, tamże 1590. Jan Januszowski księgotłocznik, w przedmowie do wydania tego powiada, że zbior tych pism nie jest zupełny, bo znizkąd nie mógł dostać całkowitego ich zebrania, wszakże wydaje go dlatego, ażeby każdy porównawszy z rękopismem swoim resztę nadesłał do wydawcy, dla sporządzenia kiedyś wydania zupełniejszego. Co atoli, ile wiem, nigdy nie nastąpiło. Wszystkie dzieła Jana Kochanowskiego zebrane razem wyszły raz jeszcze w Krakowie r. 1629. Późniejsze od tych wydań są wszystkie niedokładne, nawet Tadeusza Mostowskiego edycji niewyjąwszy. Dawniejszych tylko używałem. Dzieła wytłoczone r. 1585, przytaczałem przez skrócenie pod znakiem tym: *dz. I*; wytłoczone r. 1629,

(*) I. S. Bandtkie w Historji drukarń Krakow. str. 558.

przywodziłem skróconym sposobem tak: *dz. II.* Powiadano mi że pisma Jana Kochanowskiego drukiem dotąd nieogłoszone, znajdują się w St. Petersburgu. Sprawdziłem tę wieść i znalazłem ją być mylną. Rzecz się tak ma. Jest w bibliotece Załuskich rękopis papierowy w ćwiartce, na którego pierwszej karcie napisał własnoręcznie Załuski, że zamyka poezje Jana Kochanowskiego. Rozważywszy go należycie, przekonałem się że istotnie zawiera *Godyniec* (*epithalamium*) na wesele Jana Załuskiego z Gryzeldą Batorówną, przez poetę z Czarnolesia po łacinie napisany: lecz wiersz ten wydrukowany jest w dwóch wydaniach poematow łacińskich Jana, w Krakowie u Łazarza 1584, i tamże u Andrzeja Piotrkowczyka z roku 1612. W rzeczonym rękopisie jest nadto *Istula sive gratulatio nuptiis Joannis Zamoście et Griselidis,* niby Kochanowskiego także: ale praca ta obca i licha jest, niegodna być nazwana własną poety z Czarnolesia. Dalej idą w rękopisie tym różne wiersze: *Epithalamium in nuptiis Thomae de Zamościo et Catharinae Ducissae ab Ostrog, Juno pronuba, Ode,* tymże nowożeńcom przypisane, *Memorabilia ex Plutarcho de viris illustribus,* mowy akademiczne miane w Zamościu, (wszystko to jest po łacinie), a przy niektórych w samym rękopisie stoi, że je powiedział Jan Kochanowski. Co przecież być nie może, gdy wiadomo

jest że on umarł r. 1584, a Zamojska Akademija 1594 założoną została. Należy więc sprostować rzecz w ten sposob, że wierszydła i mowy owe pisał jakiś Kochanowski, (może ów którego liche wiersze łacińskie z tłumaczeniem obok polskiem znalazłem w Załuskich bibliotece pod napisem: *Vita, mors et triumphus D. Casimiri Principis metro quo ipsum et s. s. Virginem coluit descripta*, lecz nie poeta z Czarnolesia. — P. Kl. z Tańskich Hofmanowa przywodzi (*) jego *Hymny kościelne*. których biblioteka Puławska egzemplarz posiadała. Nie znam tego dzieła.

Opowiem szczegóły życia Kochanowskiego, które za najważniejsze podają najnowsi pisarze polscy. Podług J. U. Niemcewicza (**), „urodził się r. 1532 w ojczystej wiosce Siczynie (w Sandomierskiem pod Radomiem); pobierał nauki za granicą, do kraju przybywszy zostawał na dworze Filipa Padniewskiego biskupa krakowskiego, od którego został królowi Zygmuntowi Augustowi na sekretarza polecony; oprócz obowiązkow domownika królewskiego, pełnił i obywatelskie posługi, zasiadając na sejmie w kole rycerskiem i do poselstw zagranicznych będąc często używany; probował wszystkich miar wiersza, pisząc je z końcówką i bez końcówki, pierwszy dał rymotwor-

(*) Jan Kochanowski w Czarnolesiu, w Lipsku 1842 we dwóch tomach. Porównaj I. str. 302, wydania pierwszego.
(**) w VIII tomie Rocznikow Towarzystwa.

stwu naszemu nieznane dotąd i wdzięki i gładkość.“ — Podług opisu ze źródeł nigdzie dotąd nieogłoszonych drukiem, zrobionego przez Kl. z Tańskich Hofmanowę, (*) „urodził się Jan Kochanowski 1530 r. pochodząc z dawnego rodu rzymskiego, który przeniosłszy się z Węgier do Polski, od przyjacioł i sąsiadow wielce go kochających, przydomek Kochanowskiego pozyskał. Od biskupow Padniewskiego i Myszkowskiego zachęcany do stanu duchownego, a od króla Zygmunta rożnemi prebendami nadany, Jan już miał przyjąć święcenie kapłańskie, gdy nagle odmienił swoje zdanie, pojął żonę i w ojczystej wiosce Czarnolesiu r. 1560 osiadł. Żyć przestał r. 1584. Pochował dwie córki za życia swego, a czte-ry ich odumarł. Po śmierci jego urodził mu się syn Janem także przezwany, który rycerski obrał sobie zawod. Najstarszą córkę Ewę wyposażyła królowa Anna Jagiellonka. Różnica niezmierna jest w wielu względach między Mikołajem Rejem a Janem Kochanowskim: o ile pierwszy był mały we swojem i współczesnych mniemaniu, o tyle drugi wielki, który znając się sam na swojej zacności, wszędzie chwali się w pismach własnych i za przykład podaje.“ — Temu szkicowi wiele zarzucić można.

Wywod rodu i nazwiska Kochanowskiego domyslem jest, nieopartym na dowodzie.

(*) W drugim tomiku Nowej Biblioteczki, wydanej w Wrocławiu 1839. r.

Jeżeli od *kochania* nazywał się Kochanowski, odczegoż wziął nazwisko ów Kochan ulubieniec Kazimierza W., o którym pisze Archidyakon Gnieźnieński? (*)

Podobieństwem do prawdy raczej jest, że pierwszy wziął nazwisko z przedłużenia nazwy drugiego, i że Kochanowski zostawał w jakimś teraz do wytłumaczenia niepodobnym stosunku z Kochanem owym. Lecz mniejsza o pochodzenie i nazwisko, tu idzie o cóś ważniejszego. Idzie o wykazanie szczegółow takich, któreby na zawod jego uczony i na prace naukowe rzuciły światło. Pod tym względem rozważałem pisma poety, a z nich tudzież że świadectw o nim współczesnych mu ludzi, usiłowałem utworzyć sobie zdanie o znakomitym tym mężu.

Ten któryby z własnych pism jego chciał odgadnąć charakter pisarza, czyli jak się sam wyraża, umysł jego skryty usiłował wybadać, oświadcza Jan Kochanowski (**) że napróżno pracowałby w tej mierze. Bo on sam własnego sposobu myślenia nie odgadlby łacno, i gdyby mu się po to do pism swoich uciec zdało, błąkałby się w nich jak ów cieśla (Dedal), który się nie umiał znaleźć w gmachu wystawionym przez siebie dla kreteńskiego chłopo-byka (Minotaura). Zkąd się pokazuje że sam nazwał dzieła swoje, a mianowicie też *Frasz-*

(*) U Sommersb: II.
(**) Fraszka 99.

ki labiryntem, myśli w nich złożone Minotaurem, siebie zaś Dedalem. Wszakże wpatrzywszy się w dzieła Jana, zdało mi się w nich dostrzedz najdobitniej wyrażony jego charakter prawdziwie narodowo-słowiański, zgodny ze sposobem myślenia Polakow. Jest to miękki wosk, który giąć da się na różne sposoby, gotowy przyjąć wszelkie kształty, jakie na nim ręka sztukmistrza wyciśnie; tak wszelako, że istoty swojej właściwej nie odmieni nigdy, i zawsze będzie tem czem był pierwotnie, bądź że go skruszysz, bądź stopisz, bądź że na nim co wyciśniesz, bądź że z niego co ulejesz. Tak i zcudzoziemszczony Słowianin, chociażby i macierzystej zapomniał swej mowy, i zupełnie obcy przybrał polor, pozostawi w sobie niczem niedające się zatrzeć narodowości swej cechy, łagodność, wesołość, otwartość; gdy przeciwnie inszego plemienia człowiek, naprzykład Niemiec, słowiańszcząc się lub francuziejąc, zupełnie się w dalszem pokoleniu przelewa w charakter narodu, którego sobie przyswoił narodowość. Charakter ten nietyle przebija się w wewnętrznej treści pism Jana Kochanowskiego, jako raczej w zewnętrznym ich układzie. Bo treść dzieł tego poety nie ma w sobie nic narodowego, chociaż wątek do nich podawały mu niekiedy ojczyste dzieje i zwyczaje. Dał się Jan Kochanowski zupełnie opanować obcemu, szczególniej też rzymskiemu

piśmiennictwu; powtarzał je i na polski tłumaczył język. Przeciwnie w zewnętrznym poetycznych dzieł jego układzie, widać charakter narodowo-słowiański, jużto wesoły, jużto tęskliwy, wesołości niemieszający ze smutkiem, lecz zawsze jednostajny, aż dopóki nie wyczerpnie do opisania wziętego przedmiotu: w czem właśnie różni się on od Horacego, swojego mistrza, który zwykł był żartami smutek przeplatać i nawzajem; który wesołą zaczynając nucić piosnkę, z rzewliwym zwykł ją mieszać wierszem, a rzecz poważną opowiadając (mianowicie też w listach), kończy ją żartobliwym zwykle satyrycznym ucinkiem, albo granice przystojności przechodzącym śmiechem. To wszystko znajdziesz wprawdzie i w Kochanowskim, szczególniej też w jego pieśniach, trenach i fraszkach; ale nie znajdziesz tego pomieszanem w jedno. Nasz poeta wytęskniwszy się, wypłakawszy i wyżartowawszy w jednym wierszu, dopiero zaczyna drugi, pierwszemu zupełnie przeciwny, często przechodząc z jednej w drugą ostateczność; we dwoistej nigdy razem, lecz w jednorakiej okazując się postaci: bo mu tak kazał czuć i mówić prosty i otwarty nasz charakter narodowy, od włoskiego zupełnie różny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GRUBO GRAMY W MARJASZA.

Jeden się zwał Bezendech,
Newezendech drugi,
W jednem jadły korytku,
Z jednej piły strugi.
Krasicki—Bajka: Dwa Gołąbki.

Po lewej stronie Niemna, u błoń Kowieńskich jeszcze, żyło jedno stare małżeństwo w zgodzie, spokojnie, jak dwa siwe gołębie w jemiołach brzozy; miało swój dom blizko rzeki i było szczęśliwe cichem szczęściem dusz niczem niezakłóconych w życia pokoju.— Pan Sulikowski był to dawny i poważany obywatel; w młodości, za lepszych czasow, służył był wojskowo; czas ten więc mający wpływać na całe życie i odbić się w odcieniach charakteru aż w same późne dni jego, był spędzony czerstwo, pracowicie i jak wówczas bywało, poczciwie. To też i widać było w dalszym ciągu: zawsze umiarkowany, dobry sąsiad, gospodarz ufny Bogu, a z kmiotkami żyjący w harmonji, choć się nie zachodził bardzo w głowę nad agronomją, miał jednak niepodrzędny kawał chleba, bez poetyzmu obłocznego miał na ziemi żonkę; lecz o tej nic nie wiem, tylko to że

mu zostawiła dwie córek jak nadniemeńskie krzewiny pięknych, a że ją samę zmiotła chciwa kosa śmierci.

Pan Sulikowski w całej okolicy powszechnie był kochany, równie jak i powtórna jego żona, o mało młódsza od niego i lubiąca *marjasz* nad siły życia, czemu też i pan Sulikowski godnie odpowiadał: w tej bowiem szlachetnej namiętności, o krok się za swą połowicą nie został.

Poezjo! ty jesteś jak słońce; jak ono w każdy zakątek gęstego lasu, tak ty wszędy się wkradasz w byt ludzki! — Nigdzie życie nie jest bez ciebie; suche serce wygania cię przezedrzwi, lecz ty mu włazisz oknem; żywa i piękna jak bóstwo, jak zorza, objawiasz się na padole strudzonemu oku wędrowca; rachubny, jałowy rozum, chce cię odpychać, tobie nie wierzyć; lecz my biedactwo ziemskie, krainy ducha ochotni mieszkańcy, widzim cię i napotykamy w różnych zjawiskach życia i przyrodzenia, i witamy jako siostrę, wysłankę z nieba, osłodzicielkę krótkiego istnienia i niewdzięcznej bez ciebie doli naszej.

Kto też odmówi pewnej poetycznej rozkoszy błogosławionemu bytowi, w jakim z całą ciszą losu i ducha, przebywali ci dwaj staruszkowie? — Ich żywot ze wszystkiemi swemi uczuciami i dziełami, przyszedł wprawdzie do rutyny; lecz ta jednostajność była dla nich potrzebą, ich uciechą i jedynem dobrem — bo

żyjąc w niej nie czuli nic złego. Ów dziwny pokoj zdobyty na ziemi wraz z błogosławieństwem niebios, dla nas dzieci wieku — pogrążonych w chaosie marzeń o przeszłości, kupczych przedsięwzięć polepszenia bytu, chwiania się w dochodzeniach prawdy i mądrości, żalow za utratą ginącej miłości — jeśli on nieznany, to czyliż w wielu dobach życia i starcia się z losem nieprzeczuwany i niepożądany? — Zaznaliśmy go jeszcze w dziecinnych latach naszych, uczuliśmy maleńkiem tonem, piastowani przez matkę u wiejskiego zacisza, w domowem kole; a jeżeli przepominamy go idąc w świat dalej i rzuceni na jego wzruszenia bezrządne i zwodne nadzieje, to czyż nie tesknimy za nim przecię? Owszem, długo, długo wznosimy młode ręce, i sercem poglądamy przez spłakane oczy, jak słońce przez chmury, ku temu drogiemu bytowi w promiennem kole rodzinnego szczęścia! Potem wirem i potrzeb i chęci i czynow zamąceni, gramy jakąś i nieobraną przez się i niepojętą rolę, zanim nie przyjdzie doświadczeń nauka, a pierś nawpół sterana nie pocznie szukać karmi i wytchnienia w tem jedynem utuleniu w gronie domowem, w wiejskiej chacie obywatela, w życiu wdzięcznem, chociaż ubogiem, bo w cnotę, zdrowie i pracę z plonami obfitem. — Może to dzisiaj jest tylko marą, co mówię; lecz niestety! gorzkie to wątpienie przypływa mi na

koniec pióra. Serce! w cóż się obraca twój kryształowy pałac, twa majowa roślinarnia, rój twych złocistych marzeń i istotnych uczuć, przed dotknięciem owego palca chłodnego, który wyciąga ku tobie magiczna ręka czasu, służka niedoli i złego, co lud zwie z biedy rzeczywistością, niemogąc nazwać lepiej? —

Ogrod jak zwykle na wsi otaczał ze trzech stron domek moich cichych gospodarzy; tam swobodna przepiórka wybiegała z żytniego łanu i kwiliła swoje lotne, krótkie, pełne *pul-pu-lu*! wśród nakropionej rosą poranną trawy; od czoła domu rozwijało się piasczyste wybrzeże, a jakże nad niem pięknie pływało to błękitne niebo naszej strony, często bladawe jak rzeczna woda, posępne, inny raz niby spłonione różanym wstydem młodości; to znowu złote opłatki, by liście żółtej róży, bujały po niem na cześć wieczorowi, gdy już odchodzi słońce! Nie będę wam bajał wiejskiej poezji mojej; każdy ją zna wedle siebie; tutaj zaś idzie mi nie o siebie i nie o was, tylko o moich starych Sulikowskich grających w marjasza, lubiących niebo niepatrząc na nie, i zaspokojonych ziemią i życiem, bez mówienia o ich powabach, jak my to czynimy poeci.

Pacierz, jak wiemy, był główną rzeczą w starym obyczaju; z nim się dochodzi późnej starości — powiadali starzy — a jednak daj Boże, aby nie jeden dziś młodzik tyle zmówił pa-

cierzy w ciągu roku, ile ich opuścili w tym czasie poczciwi moi Sulikowscy, wraz z łóżka zasiadając na gorąco do marjasza! Jeszczeż kiedy to miało być na świeżo, kiedy dziś miała się poczynać gra nowa, to tego dnia jakkolwiek wytrzymali i naprzód mówili pacierze. Lecz broń Boże! posnęli niedograwszy z wieczora, pierwsza myśl z ocknieniem się, pierwsze słowo po przetarciu oczu, pierwszy ruch z pościeli, było to zawołać: ach moja imość! ach mój jegomość! wszak to nie rozegraliśmy jeszcze! — siadajmy — i pójść do stolika.

Ten stolik był to nieodstępny od nich, najdawniejszy znajomy, najpoufalszy sprzęt z całego domu i świata, a razem i najmilszy; jego to posuwali, miarkowali, tak jak się obraca w uściskach brata po dawnem niewidzeniu przybyłego do domu; był to ich dom cały, ich bawialnia, ich robotka, ich troska! — o reszcie potrzeb drudzy młodsi w domu myśleli. — W nim zawarła się oddawna cała ich gospodarka i nawpół zbiegały się ich myśli, nawpół powiadam, bo w kominku stolik miał swego niebezpiecznego rywala. Stolik ten, była to stolica gry, a w niej boby, jej sługi wierne, jej straż i jej wojsko szeregowe, jej bank pożyczkowy i niewyczerpany kapitał. Ku obronie i natarciu potrzebne były dwa osobne pułki: sformowano więc drugi zastęp kaliw grochowych. W tem to częsty spor z uśmiechem

powstawał między staruszkami, kto czem miał dowodzić? — spor kończący się codziennie na ustąpieniu jednego z dwójga, co zwykle rozdzielane było tak, że jednego dnia jegomość, drugiego jejmość grali naprzemian, to bobem to grochem. — Tutaj-to dopiero pomiędzy cichym i jednotonnym szelestem kart, kładzionych powoli starą ręką, a niekiedy rzucanych z większym pędem przy natężonej uwadze i ściśniętych ustach, wymykały się z nich przyjaźne wykrzykniki: bij jegomość! czy już? basta! — i znowu z powagą, niepatrząc na siebie, tassowali karty z uśmiechem zadowolenia, przenikliwości i ochoty.

Gdybym-ci ja sam miał szczęście być przy nich, a nie z powieści tylko powtarzał te dzieje — nie wątpię iż napisałbym tom cały o rachunkowości bobowej i naukę doskonałej gry w marjasza; — ale mię ominęły te gody, a więc wybacz kochany mój czytelniku. Były tam stare i niczem nieobalone ustawy, które jeśliby kto chciał naruszyć, zaniсby z nim nie grali państwo Sulikowscy starzy; a jeśli kto w okolicy chciał dowieść nieprawości w grze przeciwnikowi, lub pouczyć nieświadomca, — mawiał: „u Państwa S. S. reguła jest taka; tak nie grają P. P. Sulikowscy;“ a dość tego było na zbicie najuporczywszego gracza. Grali oni z honorami; 4 kaliw bobu szło na 40 marjasza, 2 za 20, także za *suche* (double) 4, za

mokrę (simple) 2. — „*Dzisiaj grubo gramy*“ powiadali sobie nieraz w jakiemś wytężeniu marjaszowej energji, i siadali z większym niż zwykle zapałem, jaki rzadko się widzieć zdarza między pospolitymi graczami. — A wiele? — sześć punktow! — I podwajali płatę, płacili nawet po 6, a niekiedy aż po 8 bobow za punkt. Jeden tylko nałog surowej oszczędności i głęboka żałość tracenia swych żołnierzy, broniła ich od dojścia czasem aż do tuzina w azardownym zapędzie. Mahomet nie zarzuciłby temu dwójgu niewiernych, iż grają nie wedle koranu. Ich to dobre serce i mierność były ich koranowem prawem. (*) Kończąc grę, czy raczej w nieuniknionych przestankach, (bo ona raz tylko właściwie w dniu kończyła się, z udaniem się do snu), z największą starannością zamykali boby i grochy i szli na obiad, po wielokrotnem a daremnem dopraszaniu się służących, i aż na wstawienie się jednej lub obu córek, które naówczas brały mamę i papę pod rękę i prowadziły do stołu. Zwykle to działo się każdego dnia w jeden sposob: najprzód wchodzi sługa, jeden z tych co to zwą się *gapimuchami*, a któremu o nic więcej nie szło, tylko aby odbyć swoje formę — służbę: — Stanąwszy więc u drzwi, mówi: „Pani dano do stołu,“ i wnet z tem odchodzi, nietroszcząc się czy pójdą

(*) Koran zabrania azardownych gier Muzułmanom.

czy nie, czy słyszeli lub nie; mówi zaś do dwóch tylko „Pani“ z nałogu, gdyż służył wprzódy u wdowy.

— A co, czy prosiłeś Państwa? pyta zasłużona ochmistrzyni, niegdyś niańka panienek, która przyszła już tylko obaczyć jak jedzą i opędzić muchy z talerzy zprzed ichmościow, a w złym razie kazać odegrzać potrawy.

— Czy chodziłaś po panienki? pyta znów służący pokojowej.

— Chodziłam; czytają i nie idą.

— A, to kara boża z tem czytaniem i z tem graniem! pogłupieli i starzy i młodzi! przestoją się potrawy i będzie smaczne jedzenie! — Biegaj żywo i proś panienek!! — Sama zaś idzie do grających, lecz już zastaje tam skromną Justysię, czuwającą tylko na ostatni punkt i zabor grochu, aby towarzyszyć do stołu swojej dobrej mamie.

To zamiłowanie wyłączne marjasza, nie uczyniło ich bynajmniej nietowarzyskimi; tylko to pewna że nigdzie nie bywali w sąsiedztwie, lub tylko za wielkiem uproszeniem, i chyba raz w rok dokąd się wybrali; ale za to do nich przyjeżdżali często goście, oddawna znajomi i szanujący ich jak poczciwą świętość parafijalną: małżonkowie przyjąwszy powitanie, predko wołali: idźcie do naszych córek, bawcie sie! i rzucali dalej, nieustające w swym ruchu karty.

Prawda że te kochane dzieci były godne

wszelkiej pochwały. One rządziły całym domem, z łagodnością i wdziękiem umiały być paniami dla slug, gosposiami dla gości. Kiedy Aniela rozlewała herbatę rozmawiając z gośćmi, druga siostra korzystając z czasu, rozporządzała w domostwie, a najmłódsza niosła pierwszą szklankę dla rodzicow. Nic też godniejszego jak miłość staruszki dla dzieci pierwszej żony swego męża; sama bowiem była bezdzietną: — one więc były dla niej jak własne, za co też odpłacały wzajemnością wdzięcznych córek. Ani jedno z tych uczuć macoszynych, kapiących kroplami goryczy na główki dziecinne, nie spadło nigdy od niej na to rodzeństwo przyjemne ludziom i Bogu. Kto nie wiedział, nigdyby nie poznał, iż między nią i dziećmi jest związek drugiego rzędu; widziano tylko matki i córki: z panem Sulikowskim zaś ona stanowiła jedno.

Nie podobna wszakże w tem niedoskonałem przyrodzeniu uniknąć pewnych zaburzeń; jakoż i w pożyciu państwa Sulikowskich trafiało się corocznie, iż najbliższy przyjaciel i krewny najprzód zapraszał do siebie, a potem sam przyjeżdżał i zabierał tę nieoszacowaną parę, i to nieinaczej jak przywożąc z sobą zaświadczenie na piśmie od innych krewnych pobliższych, iż za to ich zaniedbanie gniewać się nie będą. Wtedy z westchnieniem, smutno poglądając wzajemnie na się, wstawali oboje od magnetycznego stolika, lecz zabierali z

sobą karty i boby w skrzyneczce, które wieźli jak wojownik swe trofeje, jak uczony książkę, a myśliwy strzelbę. Kiedy pobyt przetrwał już kilka godzin, a w tym czasie ręce ich i oczy szukały sposobu jak wrócić do dawnej pracy i nałogowego kierunku, taka ich obejmowała nuda, iż tęskno i zcicha, jakby ją co korciło, z miną zbiednioną, mówiła do męża staruszka: „jedźmy już mój jegomość!“ — Dla przetrzymania więc dłużej u siebie, sąsiad brał podobny stolik i sadzał ich do marjasza; ale to było już nie to! raczej jakieś wygnanie, więzy, niż rzeczywiste życie w swym błogim kraju. — Jest to jedyny wypadek, który tak zamiast urozmaicenia, mącił ich istnienie rok w rok nakształt oddalenia się słońca. Ze trzy dni potem nie mogli przyjść do siebie, ani do ładu z graniem; gdzie boby, gdzie grochy, albo wszystko zmieszane, lub kilka ziarnek najlepszych stracono w drodze! — Pomyśli kto iż rządca majątku mógłby tę rzecz załatwić przysławszy z gumna cały szufel: ba! gdzie tam! Boby używane wiecznie od naszych graczy, były tak gładkie i lśniące, że się posuwały prawie same po stoliku, i łatwo je było rozróżnić od nowo przybyłych. Było to coś takiego jak wprawni kanceliści, między których biada wpaść niezręcznemu nowicijuszowi.

Jak przesuwają się szkiełka w kaledoskopie, jak w klepsydrze przelewa się woda,

lub przesypuje bez końca piasek — podobnie trwała wiecznie zamiana bobow: ten wygrał, to ma więcej; temu zaś ubyło, bo przegrał; tam radość, tu smutek; znowu zacięta walka, wszelkie nieprzechodzące cnoty w grze fortele wysilają się z obustron; przegrany wstaje z posępną miną i źle usypia, a nazajutrz musi odegrywać, więc i czynność bez końca. Niedokończenie partji trzyma w zawieszeniu te dusze; z rozjaśnionem okiem, jak wrogowie co nie odjęli sobie życia w pojedynku, odchodzą, obiecując wzajemnie jutro dokonanie, i wstają z pośpiechem z łóżek do odegranej. Był to wąż wieczności, przystęp i odstęp morza, treść życia i potrzeba. Czasem stawała w progu wieśniaczka prosząc o lekarstwa dla chorego w swoim domu; wtedy wyręczała starą panię mężowska córka lub gospodyni, która nabyła tej praktyki przy swojej pani od daty pierwszych marjaszow, które wszystko pochłonęły z kolei.

Radził im raz lekarz używać ruchu dla zdrowia, gdyż ciągłe siedzenie przywiodło ich do ćmienia się w oczach i lekkich attakow do głowy: ruszali więc oboje sędziwi małżonkowie do gumna, w czasie młóćby zboża; lecz i tam usiadłszy się na słomie, i pogadawszy trochę z chłopami, zamiast przekładać naprzykład snopy, brać w ręce arfowane zboże i t. d. zaraz rozpoczynali swoję zwykłą ro-

bołe. Kmiotkowie tymczasem rzucając snopy, poglądali na swych starych panow z uśmiechem, opowiadając sobie przykłady o ich dobroci i chwaląc ich poczciwe życie. — „To nie panowie, ale dobrodzieje nasi“ — mawiali — a starzy pokazywali swoim dzieciom idącym do ślubu, jako wzór zasługi przed Bogiem, że dożyli tak długich lat szczęśliwie i zgodnie, ze smutkiem często przydając: „Pan Bóg święty wie, jak ci panowie umrą, czy nasze dzieci doczekają się drugich takich? Daj im Panie dni długie!..

Jednego razu, było to cóś w roku 1825 podobno, gdy gruchnęła nagła wieść po okolicy dziwnie uderzająca wszystkich, jakoby P.P. Sulikowscy starzy pogniewali się z sobą i mają iść do rozwodu, po 30 leciech najzgodniejszego pożycia! Nowina ta tak zdziwiła wszystkich, że nie wiedziano czy śmiać się czy płakać, i zrazu nie chciano temu wierzyć; lecz gdy wiarogodne osoby zpobliża toż samo potwierdziły, hurmem ruszyli kto w Boga wierzył, jak na odpust, aby obaczyć to dziwo i pogodzić zwaśnionych, jeśliby trwali upornie przy swojem. Wykryła się tajemnica, lecz nie tak łatwo było zjednoczyć rozdwojone królestwo bobu i grochu, jakby się zdawało: zaszła waśń o trzy ziarna. Pan Sulikowski tedy chodził sobie na bakier, a jejmość milczała i nie patrzała na niego. Kiedy pośrednicy pytali go o przy-

czynę i prosili aby się pojednano, on nie chciał tego ani słuchać, i wołał: „At! co waspan mnie mówisz! A kiedy panna Marjanna powiedziała mnie w grze wyraźnie: nie umiesz grać, kręcisz, natassowałeś..." Jednak magnes nieprzezwyciężonego nałogu, tak już ich dręczył i pociągał ku sobie. że potrzeba było tylko przypadkowego popchnięcia i lekk ego musu, aby stanęła równowaga nanowo. Ugodzili się tedy przez arbitrow: główne warunki ugodowe podane były na piśmie z obustron, a mianowicie.

Ze strony jejmości:	Ze strony jegomości:
1. Że JPan Sulikowski nie będzie tak prędko rozdawał kart, kiedy Jejmość o to prosić będzie.	1 Że Pani Sulikowska nie będzie ucierać nosa, kiedy Jegomość karty rozdaje, a potem narzekać iż nie widziała jak dawał.
2. Że P. Sulikowski nie ma stawić tabakierki, ani innej rzeczy na rogu stolika, bo zasłania kartę i zsuwa bob na stronę.	2. Iż Pani Sulikowska nie ma brać grochu, aż się przekona czy właściwie do niej należy. tojest czy wygrała prawnie.
3. Nie być takim gorączką, bo to nie wojna ale marjasz.	3. Nie gadać że kto jest oszust, albo co. i nie wstawać tak prędko od stolika. byle co zaszło.

Ostatni punkt był czysto polubowny; potem znowu nastąpiło wyborne królowanie jedno-

stajności i marjasza, a tylko jako cały ślad gorzkiego zaburzenia, pozostał codzienny dodatek po grze: — „No czy nie gniewasz się na mnie panie Stanisławie?“ — albo przed grą: — „Czy nie będziesz gniewać się na mnie panno Marjanno? —

Gdy ziemię tę przemieniali na grob, nie było żadnego cierpkiego poruszenia ni w nich ni wokoło nich; tak cichą i właściwie spadkową była ta śmierć dwójga poczciwych! Spełnili swój wiek pracy, a w starości odpoczynkowej nie żałowali świata, bo o nim nie myśleli; zejście zaś ich nie było dziwnem obecnym: oni tylko jak przez grob zstąpili z życia do raju.

Ludwik Podbereski.

1840 r. kwietnia 8 d.
Suwałki.

WSCHODNIA CZTERDZIESTA

ODA

WIKTORA HUGO.

(Przekład Szymona Konopackiego.)

ON.

I.

Byłem wówczas olbrzymem
na sto łokci wzniosłym.
Bonaparte.

Zawsze on! i on wszędzie! wrzący, czy jest głazem,
Zawsze on myśli moje miota swym obrazem.
On duchowi mojemu twórczą moc nadaje.
Drżę cały i słów potok wylewam, gdy imie
Odblaskiem otoczone, ćmiące i olbrzymie
W całej swej wyniosłości w wierszu mym powstaje.

Tam, widzę go jak bąby podlotne wymierza;
Tam, w imie królobójcow na ludy uderza;
Tam, żołnierz, a trybunow niszczy władną radę;
Tam, konsul młody, dumny, twarz czuwaniem chuda,
Duszę w snach o cesarstwie zajęty mu cuda,
Czarne kosmy, lice blade.

Potem cesarz potężny, o czole pochyłem,
Rządzi walką ze wzgórza, otoczon jej pyłem;
Rycerzom błysnął gwiazdą w przyszłości widoku;
Na znak jego, pożerczy z dział ogień wybucha,
Duszą swoją, do boju krociom natchnął ducha,
Poważny, a pogodny z błyskawicą w oku.

Potem biedny niewolnik, w urąganiach, w męce,
Na wrzącą pierś zakłada bezczynne już ręce;
Łup poziomych dozorcow jak zbrodzień poziomy,
Zwyciężon, ołysiały, z czołem w ciemnej chmurze,
Wznosi do skał wystawnych na gromy i burze
Swe myśli, wieczyste gromy.

Jak on wielki, nad wszystko! w potęgi zwalisku!
Gdy brytańskich klucznikow zdany pośmiewisku,
Odwilża pomazanie świętością niedoli,
Zawiesza tentem kroku dwojga światow tchnienie,
A mdlejący, wygnaniem dręczony w Helenie,
Wycierpia brak powietrza w klatce swej niewoli.

Jak wielki! gdy ma ujrzeć Boga oko w oko,
Gdy z gasnącej źrenicy toczy łzę wysoką,
Wyzywa starą armię oddaną żałobie,
Wyrzuca zgon samotny towarzyszom broni,
I wojennym jak całun płaszczem się osłoni,
I jak z obozu legł w grobie.

II.

Żołnierze! Czterdzieście wieków pogląda na was ze szczytu tych głazów..
Bonaparte.

W Rzymie, kędy senatu następcą konklawe,
Na Elbie, w górach śnieżnych i zionących lawę,
U czarownej Alhambry, u Kremlina grodu,
Wszędzie on jest! U Nilu znachodzę go jeszcze,
Egipt jego jutrzenki zjawia ognie wieszcze,
Cesarska gwiazda jego błysnęła od wschodu.

Tryumfator, natchniony, czy ułudą mami,
Sam cudem jest i ziemię zdumiewa cudami!
Szejk w Emirze czcił mądrość jaśniejącą z młodu,
Lud potęgą zalękły, u kolan się cisnął;
Wzniosły, on pokoleniom zdumionym zabłysnął
Jakby Mahomet zachodu.

Ich wieszczba już zajęła szczytne jego dzieje;
Namiot araba, jego wielkością jaśnieje;
Każdy wolny beduin z nim się bratał śmiały;
Dziatki, ku brzegom naszym zwracając oblicze,
Kwoli bębnow francuzkich mierzą pląsy dziecze;
A na jego wspomnienie, rumaki tam rżały.

Dziś niekiedy w numidskim wzniesion huraganie,
U szczytu piramidy nieruchomy stanie,
I piaskow oceanem, pustynią się pieści.
Tam cień jego, popiołom odpoczynek miesza,
Tam znowu, obudzając, jak do boju wskrzesza
Ołbrzymich wiekow czterdzieści.

Rzekł: powstańcie! wnet każdy powstał wiek ockniony;
U tych miecze w prawicy, tam berła, korony,
Satrapy, faraony, magi, narod kości
Bezmównych, przypylonych, w nieruchu on zlicza;
Wszyscy zda się hołdując przewadze oblicza,
Składają, króla czasow, świetny dwór przeszłości.

Tak wszystko, dla człowieka niezgładzonej stopy,
Wszystko mu jest pomnikiem; brnie w piaskow zatopy,
I cóż; lubo tam Assur pod ich falą ginie,
Lubo tam skrzydła burzy wysiłkiem się zmogą,
On wiecznie kolosalną napiętnował nogą
Ruchomej twarzy pustynie.

III.

Dzieje! pienia! on stopą wasze spoił szczyty.
Gdy w zdumieniu przebiegam wasz świat znamienity,
Imie jego odbija gdzie dotknę się sławy.
A zaledwie cię ujrzę, wnet głos uwielbienia
Spieszy z ust gorejących, w płomień się zamienia,
Napoleonie! słońce! ja twój Memnon prawy.

Tyś pan wieku; czyś anioł, czyś duchem erebu,
Zadyszały twój orzeł wznosi nas ku niebu.
Nieszukając cię nawet, wzrok się tobą poi.
Ty nam rzucasz na wszystko olbrzymi cień własny;
I zawsze Napoleon posępny a jasny
U proga wieku nam stoi.

Tak gdy goszcząc w powabnej Wezuwu dziedzinie,
Z Neapolu wędrowiec ku Portycy płynie,
Przechadzką wzrusza cichość ichejskiej ustroni,
Gdzie szczęśliwe potoki tchnące róż wyziewem,
Szemrzą, jakby sułtanki rozkochanej śpiewem,
Który zda się przelatać środkiem samej woni;

Niech dostojne Pestumu zwiedza kolonady,
Niech go zajmą w Puzoli żywe serenady,
Nucone w tarantellach pod murem Toskanu;
Niech obudza swym krokiem mumiję wspaniałą,
Pompei snem ujętej pogrzebane ciało
Schwycone tchnieniem wulkanu!

Niech w stronach Pauzylipu krąży w chybkiej łodzi,
Zkąd wioślarz Wirgilemu śpiew Tassa wywodzi;
A zawsze, w cieniu drzewa, na łożu trawniczem,
Zawsze mu i na łąkach i na wodach czystych,
Na przylądkach, na brzegach półwyspu kwiecistych,
Zawsze mu czarny olbrzym dymi przed obliczem.

PIEŚNI, PIOSENKI

I

PIOSNECZKI.

(przez J. I. Kraszewskiego.)

I.

Za doliną, za rzeczułką
Widzisz biały, domek mały,
On, jak gwiazdka co z jaskółką
Do strzechy się poczepiały;
Tak do wzgórza przylgnął bokiem,
Przytulił się i osłonił,
Jak gdyby przed świata okiem
Ukrył i od oczu stronił;
Tak gałęźmi zawieszony,
Ocieniony z każdej strony!
A u stop mu szemrząc zcicha
Rzeczka falę falą spycha,
I zielony brzeg całując,
Leci srebrna, leci młoda,
Gdzieś strumyka upatrując,
By z nim zlała się jej woda.

Po nad strzechą komin biały,
Gołębie go wskróś obsiadły,
Cóś na strzesze szczebiotały,
Z pola lecą, spać się kładły —
Na podwórku, na złocistem
Kurki chodzą, ziemię dziobią,
Kogut głosem uroczystym,
Zda się gderać: Co tam robią?
Dalej gumna i stodoły,
Sad bogaty, sad wesoły,
Nad lipami bocian biały,
Stróż, na jednej nodze stoi,
Gdzieś się patrzy. — Poleciały
Dzieci — o dzieci się boi.
Skrzypi studnia, piosnka brzęczy,
Tam po wodę dziewczę leci,
Czemuż długo na poręczy
Sparta czeka? a pieśń leci,
I gdzieś zdala wywoływa
Tego, który nie przybywa?
W takim domku — a! nie powiem —
Proste dzieje, dawne dzieje!
Mnie nie śpiewać sercem wdowiem,
A wam — uchem się przeleje!

II.

Nieprześpiewaną gra mi pieśnią w duszy,
Śpiewałbym, śpiewał i śpiewał bez końca —
Spójrzenie na was — pieśń u źródła suszy —
I mrze na ustach nóta konająca.

A! któż z was kiedy poklasnął poecie,
Nie dłonią o dłoń, lecz sercem o serce!
Alboż wy duszą pieśni przyjmujecie?
Zimni słuchacze, natchnienia morderce.
A kiedy jęknę boleścią co krwawa,
Gorąca płonąc, z piersi mojej bucha,
Coby was spalić powinna jak lawa,
Któż ze mną boli, kto mię sercem słucha?
A kiedy radość co usty wykwita,
Szkli mi się w oka łezce przezroczystej,
Kiedy drgam cały — nie jeden mnie pyta —
Zkąd radość twoja, zkąd śmiech ten kwiecisty?
I to co duszą, westchnieniem i wzrokiem,
Co półwyrazem, co głosem dośpiewam —
Wszystko to próżno na ziemię potokiem,
Pod nogi wasze, stracone wylewam.
Naco wam pieśni, kiedy macie życie?
Naco wam pieśni, gdy rozkosz zwierzęca,
W której żyjecie, za którą gonicie,
Więcej od pieśni wabi was i znęca!
Surowa pieśni — pójdź nazad do duszy!
Oni niewarci bym wyśpiewał myśli —
Brzęk tylko śpiewu pogłaskał im uszy —
Oni nie uczuć pieśń — lecz słuchać przyszli —

III.

Precz mi ze światem! O! to piosnka stara —
Powiada — precz mi ze światem,
Komu zgorzkła życia czara
Jednym spełniona wiwatem!
I w szale potem powtarza:
Precz mi ze światem.
I rzucić go się odgraża:
Śmierć kładnie
Na dnie
Swego kielicha —
Patrzy weń, i za nią wzdycha.
Ale to fałsze! to fałsze — to stara
Piosnka rozpustnych, gdy przebrana miara,
Gdy z licem zżółkłem, ze twarzą wybladłą
W duszy sumienie z zgryzotą, zasiadło;
Gdy mętne oko, jak spójrzy po świecie —
Wszystko mu zżute, blade, wszystko śmiecie.
Ale nie wierzcie — Świat nasz wiecznie młody,
Zużytym żale, a nam jeszcze gody!
Na ich to oku tylko światło zgasło,
W ich tylko piersi serce się roztrzasło;
Nie świat tak zły jest, zużyty, bez kwiatu,
Oni bezczeszczą, nadużywszy światu.
Kto wszystko połknął, niczego nie użył,
I głupio nawet namiętności służył,
Teraz powtarza: — o precz mi ze światem!

A świat, świat zawsze złotem i szkarłatem,
Stroi się wieczną zakwitając wiosną.
Lice ma krasne, twarzyczkę radośną.
I młodą piersią wtórzy piersi młodej,
Bo niema zmarszczki na licu przyrody.
Kto umarł? człowiek! ale ludzkość żyje!
Kto umarł? cząstka — kwitnie wielka całość,
Miljon miljonow z tych kielichow pije,
Które potłukło znużenie i żałość.
Nie — precz ze światem; — do piersi go mojej!
Tu, na me łono młodzieńcze,
Niech jego duchem, duch się mój upoi,
Niech pocałunkiem z przyszłością zaręczę.
Ja świat tak kocham! o! wszystko dla świata,
Dla braci ludzi, dla ludu —
Nie żal poświęceń i trudu —
A w sercu moja zapłata —
Jam nie zużyty, i w sercu mem bije
Miłość wszystkiego co żywe, co żyje —
Do trupow tylko piersi nie przyłożę,
Tobie- precz z światem- mnie: Świecie- szczęść Boże.

IV.

Jakże bo was nie kochać, nie szaleć za wami?
Rajskiem waszem wejrzeniem, czarnemi oczami?
Za piersiami białemi, za stopką malutką
I za rączką toczoną, różową, drobniutką?
Choćby ręka groziła,
Wasza groźba tak miła!

Groźby wasze wabikiem, płacz często uśmiechem,
Często radość cierpienie pokrywa fałszywa.
O! zwodnice! zwodnice! wam zwodzić nie grzechem,
Bo zwiedziony szczęśliwy, zwiedziona szczęśliwa. —
Czemuż kiedy w pieszczotach na piersi twej białej,
Głowę ogniem płonącą położę, przycisnę —
Gdyśmy jednem oboje, kiedym ja twój cały,
Jeszcze myślą na zdradach i jutrze zawisnę?
Czemu wierzyć nie można tym ustom z koralu?
Czemu ręka co drżąca dłoń moję przyciska,
Może jutro — A! serce od gniewu i żalu,
Miłość w sobie zgasiło, zazdrością wytryska!
Czemu oczy co dzisiaj tak patrzą się w moje,
W których światy ja widzę i wieki bez końca,
Już niepokoj odwrócił w otwarte podwoje —
I świat mój się zakończył, bo pogasły słońca?
Czemu leżeć nie mogę psem u nóg twych wiecznie,
I strzedz cię i pilnować dla siebie, dla siebie,
I zasypiać u kolan spokojnie, bezpiecznie,
Bez jutra, niepokoju, bez myśli, jak w niebie?
Czemu piękna jak anioł, serce masz szatana,
I zmiennaś jak obłoki, jak niebo jesienne?
Dzisiaj strojna w uśmiechy, jutro łzy oblana,
Dziś płonąca, znów zimna — a wszystko tak zmi enne!
Wieczność w twojem objęciu, to chwila jest tylko,
Którą rozniesie skrzydły czas nieubłagany,
I ja płakać, ty śmiać się będziesz za tą chwilką,
Ty się wstydzić — ja boleć nieodżałowanej. —

———

V.

Czegoż w świecie nie żałujem,
Lat przeżytych, dni minionych?
Ledwo pasmo ich przesnujem,
Co łez za niem nieskończonych!

Wszystko grzebiem łzy czułemi,
Przykrywamy westchnieniami!
Żyjem z cieńmi umarłemi,
Drżym przed jutrem co nad nami!

Nieraz może pierś młodzieńczą,
Jutro wzbijało nadzieją,
Przyszło — cierniem skroń nam wieńczą,
Rozpacz nęka, łzy się leją.

Dziw że potem oko łzawe,
Człek na przeszłość zwraca swoją —
Dziw że nawet bole krwawe,
Długie lata w oczach stoją.

A! bo wszystko, wszystko drogie,
Co minęło nieścignione —
A! bo wszystkie wczoraj błogie,
Wszystkie jutra, w cierń wieńczone!

Czegoż w świecie nie żałujem,
Lat przeżytych, dni minionych?
Ledwie pasmo ich wysnujem,
Co łez za niem nieskończonych!

VI.

Młodości kwiat,
To kilka lat—
To kilka rannych lat.
A reszta zgon,
Już bije dzwon,
Na pogrzeb naszych strat.

Im później rok,
Co dalej krok,
Zbywamy drogich szat.
I schnie nam dłoń,
Marszczy się skroń,
I brzydnie w oczach świat!

O! życia kwiat,
To kilka lat,
To kilka drogich lat,
A reszta łzy,
I pogrzeb brzmi,
Jak przeżyć tyle strat?

A każdy krok,
A dzień i rok,
Mogiły sypie nam;
I pusto tu,
I nie żal mu
Nic już u śmierci bram.

Bo wszystek kwiat,
Wyczerpał świat,
Na czary swojej brzeg;
A w usta tam
Już piołun sam
Z żółcią zmieszany biegł.

Bo wita nas
W blasku swych kras
Świat kłamstwem strojąc drzwi;
Lecz dalej jęk
I kajdan brzęk
W ucho wlatuje ci.

O! życia kwiat,
To kilka lat,
W nich cierpieć już się ucz.
Nadzieję swą
Jasną, złotą,
Na progu zaraz stłucz.

11 Listopada 1844 r.

Pieśń.

Smutno, smutno nam na ziemi,
Nam aniołom tutaj żyć,
Co pieśniami niebieskiemi
Budzim duchy gdy chcą śnić.

Na umarłym świecie całym
Niema bratniej nóty tu,
Co ognistym tętni szałem
W naszej piersi, w naszym tchu...

Dzieciom nędzy, urojenia,
Wiankow szczęścia nikt nie splata;
Za cóż sami do cierpienia
Mamy wielkie serce świata?

Gdy zagramy w srebrne stróny,
Niebo ścielem u swych nóg;
Nasze pieśni, nasze tony
Błogosławi jeden Bóg.

Lecz nie chcemy tego nieba
My cherubow ziemskich chór;
Nam słuchaczy innych trzeba,
Synow ziemi, ziemi cór.

Bo my w złoty hymn miłości
Pragniem zmienić cały świat,
I wszystkie serca ludzkości
W jeden prawdy święty kwiat.

Aleks. Niewiarowski.

DAWNE WSPOMNIENIA.

Bywało dawniej, w latach mej wiosny
Jam górnych nie pragnął szlakow,
Lecz skryty w gęstwi, rozgłos miłośny
Czasem wesoły, częściej żałośny
Lesnych powtarzał śpiewakow.
Proste były me słowa, jako żal pastuszy,
Tęskne jak stoku mruczenia;
I teraz jeszcze czasem przegrywa w mej duszy
Pieśń dawna, dawne wspomnienia.

— „Nie nudź (śród zimnych prawią uśmiéchań)
„Twojego serca niezdrowiem;
„Dość tych łez rzewnych, jękow, usychań,
„One nas duszą parą swych wzdychań.“
— Czuję jak oni, odpowiem;
Czy po was jak dżdżu kropla po twardym granicie
Tkliwe ociekły cierpienia?
Czyliż z kwiatu dni waszych nie schowało życie
Nawet i listka wspomnienia?

Jak echo w puszczy głos mój przepadnie —
„Nie chciej się próżno frasować,
„Posłucham choćbyś śpiewał nieskładnie.“
— „Ach już mi śpiewać nie tak jest składnie,
„Jak tobie piękna, czarować.“

„Lecz gdy każesz, zanócę, — bo zgaduję czemu
„Smętne ulubiłaś pienia;
„Ty chcesz cicho podumać, westchnąć po dawnemu,
„Dawne przywodząc wspomnienia.“

Głos.

Smutno, tęskno dni się wleką
Jak te pola, myśl jałowa.
Ponad poziom w górę wzlata
Rodnej strony śpiew.

Wzlata rączo i swobodnie,
Już mgły gęste zmógł,
Lecz niesnadno ciebie godnie
Śpiewać będzie mógł.

Bo Apolla młódszej dziatwy
Nizki pieśni lot;
Bo pasterzom śpiew niełatwy
Twoich szczytnych cnot.

Więc zamilczę, lecz w twej strony
Pięknej cieniu drzew,
Racz nócić tobie nócony
W zimnym kraju śpiew.

I. K.

Piosenka dla Zosi.

(na nótę starodawnej piosnki.)

Moja dziewczyna robocza była,
Pięknny woreczek dla mnie zrobiła,
Z jedwabiu, ze złota,
To mojej dziewczyny robota.

Czemże ja tobie dziewczę odpłacę
Za twoję miłą, kochaną pracę?
Zaśpiewam na dziękę
Króciuchną lecz śliczną piosenkę.

Obyś ty była zawsze robocza,
Do gospodarstwa, pracy ochocza,
A rzeczem: o Zosia,
Ach dobraż to nasza gosposia!

Obyś ty równie chciała być dbałą,
Uczynić duszę twą doskonałą,
A rzeczem: o Zosia
Cnot wzorem, to nasza gosposia!

Jan Czeczott.

BOGATY

UBOGI.

A zaś Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, bogatymi w wierze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym którzy go miłują.

Zastanawia mię wyraz przymiotny *bogaty*: pochodzi on od *Bóg*, więc znaczy obfity w Boga. Bogaci, czy słyszycie co znaczy wasze imie? a czyście napełnieni Bogiem? Nie chcę kłamać i dawać cyfry za wartość istotną, ani wam przeto dawać tego nazwania. Niech będzie dostatni, pieniężny, majętny, wedle tego jak kto ma dosyć, lub posiada siła pieniędzy, dzierży ziemię, bez doznawania przykrego musu w przestawaniu na swojem. Ale nie zwijcie bogatym tego, co jak mól gryzie skarby swoje, a widok jego życia jest jak bez ducha, czczy jak sama fizyczność. Stosownie do źródłosłowu, można chyba powiedzieć: bogaty w cnoty, — ale bogaty w pieniądze?.. jakiemże prawem przyrównasz bóstwo do grosza, gdy one już rozdzielone słowem Chrystusa: „oddaj

co jest boskiego Bogu", to jest duch a nie pieniądz. — Bogaty to chyba ten co w duch obfity, co posiadł dużo Boga, co szuka jego przymiotow, aby stać się człowiekiem wedle swego moralnego przeznaczenia, i wielkiego obrazu na którego podobieństwo stworzonym został. Prawda że dziś mówią: „Bóg — to pieniądze! wszystko za nie, i cnotę kupisz, tylko dawaj cowięcej" — Albo ten inny mówi: „W żonie szukaj trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy!" Więc ciało i dusza są na cenę grosza? — Wstydzić się musisz za takich ludzi, bez cnoty i Boga, i litować nad niemi. Życie ich jest śmierć, myśl ich i pieniądze razem zmieszane, są jakąś obrazą Stworzyciela i stworzenia, pozbawioną miłości kropelki. Gdy oni będą *bogaci*, Bóg właśnie będzie najdalej od nich. Bądźcie raczej *ubodzy*, bo jedno jest tylko bogactwo duszy. Miejcie, zostawajcie u Boga. Ubogi znaczy mający, będący u Boga: tak się tłumaczy słowo ubogi duchem; słowa więc bogaty i ubogi schodzą się z sobą; ten co ma od Boga dary cielesne dane, winien ich udzielać temu co ich jeszcze spodziewa się od Niego, bogacąc się w duchu — bo z jednego obaj biorą źródła, w jednym żyć powinni Panu. — Niech twe ciało będzie bogate, zdrowe, piękne, pracowne, żywe, plenne, cnotom duszy usłużne. Lecz zepsuty człowiek nigdy nie jest bogaty: jego kruszce, cielesność, chciwość oczu

i serca, rozkosze trawiące, zimno, wynaturzenie się, czynią go raczej bezbożnym i nędznym; niemasz w nim bogowstwa, gdy on sam jest jakoby djabelski. Ten bogaty na prawdę, kto zdrów i ma zacną duszę! (*)

Ludwik Podbereski.

(*) Uwaga. Moralnie i poetycznie dobrze; tylko że źródłosłow krzyczy na to, gdyż bogi wyraz słowiański, znaczy błogi, szczęśliwy, obfity, i pono ztąd bogaty. —

SPIS RZECZY

w Zeszycie drugim zawartych.

LITERATURA.

ROZMAITOŚCI.

Koniec.





